

Czas się dźwignąć z gruzów

Mechanizmy napędzające wojny zaczynają się już tam, gdzie w poczuciu świętej racji zaczynamy kogoś stygmatyzować, wykluczać, zawstydząć i poniżyć. Czas odbudować nasze relacje – pisze Brygida Helbig.

Zbliża się 1 września, więc tematyka wojenna chodzi mi po głowie. Kiedy byliśmy młodzi, my, pokolenie urodzone we wczesnych latach 60-tych, wydawało nam się, że wojna jest już dawno poza nami. Jednak jej cień nad nami wisiał, bawiliśmy się na gruzach, przynajmniej tak było w Szczecinie, gdzie osiedlili się ci, którzy utracili wszystko, którym przyszło zaczynać w zupełnie obcym miejscu od nowa. Żyliśmy nie tylko na gruzach domów, ale przede wszystkim na gruzach roztraskanych dusz naszych rodziców, krewnych, nauczycieli. Sporo okrucieństwa unosiło się w powietrzu. W szpitalach oddzielani byliśmy od matek, często bardzo wcześnie oddawani gdzieś pod opiekę, wielu z nas doświadczyło przemocy fizycznej, emocjonalnej, albo jeszcze innej. Na każdym niemal rogu stał ekshibicjonista. Ale i my dzieci nie byliśmy święte. Wzajemne upokarzanie się było na porządku dziennym, nadawały się do tego kolonie, ale i szkoły, gdzie dzieci z wielodzietnych rodzin były bezlitośnie napiętnowane. Nauczyciele potrafili uderzyć w twarz, wykpić, rzucić żyłką lub przezwiskami ukutymi z naszych nazwisk. Wyszliśmy z tego cało, przynajmniej tak nam się wydaje.

Pokolenie naszych rodziców było zajęte odbudowywaniem kraju z ruin, potem budowaniem biograficznej fasady. To pokolenie chciało szybko zapomnieć o ranach i wymagało od nas zwykle takiego samego hartu twierdząc, że mamy przecież o tyle lepiej - tak doskonałe „warunki”! To pokolenie albo milczało o swojej przeszłości (to raczej sprawcy) albo opowiadało ją na okrągło (to raczej ofiary, chociaż trudno tu o nieskazitelną klasyfikację). Wielu naszym matkom brakowało powietrza. Zapamiętałe pracując nad iluzją normalności zapomniały o sobie, o spełnieniu, o duszy, a ich frustracja rosła. Niektóre topiły rozgoryczenie w alkoholu albo psychicznie w końcu „odjeżdżały”. Ojcowie w dobrej wierze wykańczali siebie i rodzinę pracą ponad siły, dążeniem do awansu czy uznania za wszelką cenę, po jednej czy po drugiej stronie politycznej bariery.

To oczywiście tylko przykłady, bo przeżyta trauma mogła wyrażać się także zupełnie inaczej. Ja wyjechałam do Niemiec, nie próbując nawet osiąść w miejscu, w którym po wojnie rodzice zaczęli nowe życie. Wielu z nas wygnął z domu nie tylko system polityczny. Zwykle nie czuliśmy się zrozumiani. Czuliśmy, że naszym zadaniem jest pokazowo funkcjonować, być wizytówką rodziców. Że nasze własne historie są mało istotne. Że trzeba rozumieć przede wszystkim pokolenie poprzednie. Pędziliśmy na oślep, aby spełnić te oczekiwania. Albo buntowaliśmy się. Albo jedno i drugie. Na szczęście świadomość tego jest coraz większa. **Coraz więcej z nas chce żyć mądrzej, głębiej. Ale łatwiej organizować wielkie uroczystości „ku czci”, łatwiej zapamiętać, że nie wolno mówić (przynajmniej w Niemczech) dwóch słów zaczynających się na „h”, niż zrozumieć, jak działają struktury totalitarne i mechanizmy napędzające wojny, dostrzeżać je w pigułce w naszym życiu codziennym – czyli u zarania.** A zaczyna się to już tam, gdzie w poczuciu świętej racji zaczynamy kogoś stygmatyzować, wykluczać, zawstydząć i poniżyć, gdy szukamy kozła ofiarnego, aby odwrócić uwagę od nas samych, gdy specyficznie pojęte poczucie honoru nie pozwala nam szukać zgody, gdy w poczuciu wyższości przestajemy słuchać i szanować

innego. I dotyczy to wszystkich opcji politycznych, tych w koszulkach z napisem „Polska”, i tych ze sklepu ekologicznego. Dotyczy to także zawstydzania i dręczenia samych siebie. Łatwiej chodzić na terapię niż codziennie posiedzieć ze sobą spokojnie kilka chwil, łatwiej automatycznie robić wszystko tak, jak zawsze robimy, niż najpierw poczuć, a potem dopiero zadziałać. Łatwiej się nienawidzić i dręczyć niż zaprzyjaźnić się ze sobą. Trochę patetycznie to brzmi, ale czas odbudować nasze dusze i nasze relacje, czas się w końcu dźwignąć z gruzów.